

KRYSTYNA HERMANOWICZ-NOWAK

Pracownia Etnologii

Instytut Archeologii i Etnologii PAN

w Krakowie

DOM Z DZWONNICZKĄ W LUBOMIERZU

W 48. tomie „Ludu” (1963, s. 445–449) J. Gajek opublikował opis dzwonnicy odnalezionej na Podhalu w Kościelisku (na tzw. Rysulówce) w czasie prowadzonych w 1962 roku badań terenowych. Na budynku inwentarskim — owczarni wybudowanej ok. 1880 roku — W. Rysula wznosił w 1913 roku niewielką wieżyczkę, w której zawiesił dzwon o średnicy około 40 cm. Według informacji Rysuli, ojciec ufundował ją, aby uchronić okolicę od burz i gradów, a sam sprawował funkcję dzwonnika. Całość notatki uzupełniona została zdjęciami i rysunkiem sytuacyjnym. Na zakończenie (1963, s. 449) autor napisał: „Ponieważ z polskiej literatury etnograficznej tego rodzaju dzwonnicy nie są znane, za celowe uznać należy opublikowanie tych obserwacji”. W przypisie zwraca się z prośbą o nadsyłanie analogicznych wiadomości.

O używaniu różnego rodzaju dzwonnicy służących do rozpędzania chmur burzowych informował w „Roczniku Muzeum Etnograficznego” w Krakowie Cz. Witkowski w artykule poświęconym sposobom zwalczania burz i gradów przez mieszkańców wsi w województwie krakowskim (1967, s. 133–152). Podaje on, że dzwony loretańskie (o średnicy najczęściej 40–75 cm) umieszczane były w specjalnie do tego celu budowanych drewnianych dzwonnicych, na czterosłupowych, zadaszonych konstrukcjach, w kapliczkach przydrożnych, na wieżyczkach nadbudowanych na dachach zabudowań gospodarczych lub wprost na słupach, zazwyczaj zakończonych rosochami. „Do rzadziej spotykanych i raczej nietypowych — jego zdaniem — należą wieżyczki wbudowane w więźbę dachową zabudowań gospodarskich, wzorowane zresztą na tego typu budowlach miejskich, szkołach, kaplicach itp... Z dzwonieniem przeciw burzy w kaplicy cmentarnej można spotkać się we wsi Rzepiska koło Łapsz Wyżnich” (Spisz; 1967, s. 145). Wspomina również o używaniu dzwonnicy ręcznych do rozpędzania burz, które — tak jak wszystkie pozostałe — musiały być poświęcone.

W publikacji nie znajdujemy jednak konkretnego przykładu potwierdzającego budowę wieżyczek na budynkach gospodarczych i domach, zaś materiałów, na które powołuje się autor (zebranych w trakcie badań terenowych

prowadzonych w latach 1959–1960; sygn. 1205), nie udało się w Archiwum Muzeum Etnograficznego w Krakowie odnaleźć.

We wsi Lubomierz, położonej w gminie Mszana Dolna, pow. Limanowa, znajduje się dom mieszkalny z niewielką wieżyczką, której forma przypomina dzwoniczkę z Rysulówki omawianą przez J. Gajka. Wieś położona jest wzdłuż potoku Mszanka, który rozdziela Gorce od Beskidu Wyspowego. Region ten zamieszkują tzw. Zagórzanie, ogniwo środkowe góralskich grup etnicznych, których wiele cech łączy z sąsiadującymi Kliszczakami. Siedliska ludzkie ciągną się tu na przestrzeni paru kilometrów, rozrzucone na zboczach łagodnych wzniesień i wzdłuż potoku, skupione w niewielkich grupach zabudowań. Liczne osiedla wchodzące w skład wsi posiadają nazwy własne, pozwalające na bliższą lokalizację. W większości wywodzą się one od nazwisk pierwszych, osiadłych na tych gruntach zarębników. W wielu przypadkach stanowią jedyne świadectwo zamieszkujących tu od dawna pokoleń, już nie istniejących, o których pamięć przetrwała tylko w nazewnictwie. Umożliwiają one również identyfikację mieszkańców, którzy na pytanie — „Skądżeś?” odpowiadają: „Od Ogiele, Dudy, Guzarów, Złydachów itp.”, ale także dokładniej — „z moczydlisk, spod ulice, od górola itp.”.

Na południowo-zachodnim stoku Jasienia, naprzeciwko drewnianego kościółka położonego w centrum wsi, rozciąga się osiedle zwane Surmy (fot. 1). W odległości około 500 m od najwyżżej położonych zabudowań, już prawie pod ścianą lasu, jeden z gospodarzy — Franciszek Niedosiał (fot. 2) wybudował w roku 1954 na niewielkiej, 12-arowej działce drewniany dom, składający się z jednego pomieszczenia mieszkalnego, sieni na przestrzał i stajni przykrytych wspólnym dachem (fot. 3). Obok postawiono niewielkie pomieszczenie gospodarcze. Oba budynki pokryte zostały gontem. Izbę mieszkalną złożono z drewna pochodzącego z powały rozebranego domu kurnego „od Kozyry” — „od dymu ciemnego”. Jak się powszechnie uważa zdrowego, gdyż długotrwałe wędzenie w dymie zabezpiecza belki przed wszelkiego rodzaju drewnojadami. Natomiast sień i stajnię dobudowano z nowego drewna. Zabudowania wzniesione z grubych bali gospodarz „sam umszył” (wypełnił szczeliny pomiędzy belkami ścian) słomianym warkoczem, który — po zewnętrznej stronie w części mieszkalnej — został wyklejony gliną i pomalowany wapnem, z dodatkiem ultramaryny, na jasno-niebieski kolor. Skromna kuchnia o niewielkim, trzykwatrowym okienku w ścianie szczytowej (od strony południowej) wyposażona została w istniejący nadal piec kuchenny wybudowany z kamienia polnego.

Elementem wyróżniającym ten dom i stanowiącym o jego specyfice jest wieżyczka wznosząca się ponad kalenicą dwuspadowego dachu. Kościelna forma tej konstrukcji związana była z zawieszeniem wewnątrz poświęconego dzwonka o szczególnym przeznaczeniu. Na stropie domu, nad pomieszczeniem kuchennym, dobudowana została specjalna, drewniana konstrukcja

(dziś już nie istniejąca), która podtrzymywała wieżyczkę i umożliwiała zawieszenie dość ciężkiego (ok. 30–35 kg) dzwonu (fot. 4). Pozwalała ona na jego rozkołysanie i uderzanie serca o tzw. płaszcz. Całość została zwieńczona czterospadowym daszkiem wspartym na czterech słupkach. Szczyt ozdobiono niewielkim, metalowym czajniczkiem odwróconym do góry dnem, w którym osadzony został, prosty w formie, krzyżyk metalowy kowalskiej roboty (fot. 6). Po zawieszeniu dzwonu na specjalnej konstrukcji sznurek do jego rozruchu spuszczonego został do kuchni przez specjalnie wywiercony w suficie, zabezpieczony metalową rurką, otwór. „Tak se zrobił, że leżąc na łóżku mógł dzwonić, a nie musiał chodzić” — wspominają rozmówcy.

Prąd do zabudowań doprowadzono dopiero w 1984 roku, pierwotnie zaś właściciele korzystali z lamp naftowych. W wodę zaopatrywano się z niewielkiego źródła bijącego przy drodze naprzeciwko domu.

Historia dzwonnika z Lubomierza jest nietuzinkowa i dlatego przytoczę ją tu w skrócie, na tyle, na ile udało się ją odtworzyć.

Franciszek Niedośpiał urodził się w Mszanie około 1900 roku i miał dwóch braci — Macieja i Józefa. Franciszek zamiłowany w tradycyjnym stroju góralskim nosił go zarówno w dni powszednie, jak i świąteczne. W niedzielę i z okazji świąt ubierał się w wyszywane sukienne, białe spodnie, białą koszulę, czarną kamizelkę i kapelusz góralski (fot. 5), na co dzień zaś nosił zniszczone elementy stroju. Według uzyskanych informacji, strój ten uszyty został w Nowym Targu przez zaprzyjaźnionego krawca (a więc był prawdopodobnie strojem nowotarskim, nie zagórzańskim). Chętnie palił fajkę (co już w tym czasie było anachronizmem), do której tytoń przechowywał w specjalnym, staroświeckim mieszk. Tak zapamiętali go współmieszkańcy — niewysoki mężczyzna — „miał 150 w kapeluszu” — ubrany „po góralsku”. Jego przywiązanie do tradycyjnego stroju postrzegano we wsi jako ewenement, coś, co wyróżniało go spośród innych i tym samym dało początek przezwisku „górol”. Określenie to — mimo że nikt z tej rodziny nie mieszka tam już od ponad 30 lat — do dziś funkcjonuje we wsi jako wyznacznik miejsca zamieszkania. „Skądżeście — od górola — i już wszyscy wiedzą, z jakiego przysiółka jesteście, z którego gospodarstwa”, dając poczucie pewnej swojskości i więzi z tutejszą społecznością.

Franciszek Niedośpiał ożenił się w Lubomierzu — uroczystości ślubne miały miejsce najprawdopodobniej w tutejszym kościele — z Józefą z domu Kołodziejczyk (ur. 1907), pochodzącą z osiedla Surmy. Z tego związku w 1935 roku przyszła na świat córka Rozalia. Jej starsza siostra Marta, urodzona w 1931 roku, była dzieckiem „przedślubnym”. Można sądzić, że zawarcie małżeństwa przez Józefę i Franciszka miało miejsce pomiędzy 1931 a 1935 rokiem.

Z podziału majątku rodzinnego Józefa otrzymała niewielką działkę wydzieloną z łąk, położoną na końcu osiedla. Na niej to wybudowano pierwszy, jednoizbowy dom. Trudne warunki materialne, zawalenie się domku, brak

podstaw utrzymania oraz perspektyw na przyszłość sprawiły, że około 1948 roku cała rodzina przeprowadziła się na tereny połemkowskie (w ramach akcji przesiedleńczych, jak twierdzą niektórzy rozmówcy) i zamieszkała w Smrekowcu koło Ujścia Gorlickiego. Obie córki powychodziły za mąż. „Ożeniona do domu” (tzn. mąż zamieszkał w domu żony wraz z teściami) nie mogła znaleźć wspólnego języka z rodzicami, co miało bezpośredni wpływ na podjęcie przez nich decyzji powrotu w strony rodzinne, do Lubomierza. Tu zamieszkali już sami, w nowym domu wybudowanym w 1954 roku na tej samej działce. Poświadcza to data wyryta na sosnębie w kuchni *RP. 1954. 15. Maja*.

Zbyt małe gospodarstwo mimo powiększenia o dokupioną ziemię (około 60 arów), nadal nie dawało podstaw utrzymania.

Według przekazanych informacji, Franciszek Niedośpiał już w drodze powrotnej ze Sromowiec nosił się z zamiśsem wybudowania na domu dzwoniczki i zajęcie się odganianiem burz, deszczów i gradu, które często nawiedzały górskie okolice, licząc przy tym na dodatkowy zarobek. Jak potwierdza jedna z rozmówczyń, w jego rodzinnej wsi była kapliczka z dzwonkiem loretańskim i być może to nasunęło mu powyższy zamiśł.

Złom, z którego po przetopieniu miał powstać dzwonek loretański, zbierał już w gorlickim, w drodze powrotnej oraz na miejscu w Lubomierzu. „Trzy dni wozem jechali z powrotem do wsi i po drodze zbierał złom”. Dzwonek loretański został odlany w 1966 r. (data znajduje się na odlewie płaszcza) i przez tutejszego księdza — ówczesnego proboszcza — o. Antosza poświęcony. Przyniosła go na plecach, w specjalnym drewnianym rusztowaniu, „żeby jej nie uciskał w plecy”, „Niedośpiałka” (żona Franciszka), podobno aż z Nowego Targu (jak podają inni sąsiedzi — z Dunajca). Wszyscy rozmówcy zgodnie potwierdzają, że „górol” był niewielkiego wzrostu i nikłej postury, tak więc zadanie to przekraczało prawdopodobnie jego możliwości. „Ona była duża baba, to pod górę pół metra zboża wyniosła na plecach, a on nawet tego nie podniósł”, wspominają.

Dzwon odlany został z żółtej miedzi, na czaszy widnieje napis: Jan Kanty Niedośpiał Franciszek Lubomierz 1966 (fot. 2). Jak wspomina córka, po przejściu silnej burzy z gradem, która poczyniła znaczne szkody na polach i łąkach, ksiądz zadawał sakramentalne pytanie dzwonnikowi — „Panie Niedośpioł, jakżeście to dzwonili?” — „A jakżeście go poświęcili?” — odpowiadał „górol”.

We wsiach zagórzańskich — jak notuje w swych zapiskach z okresu międzywojennego Sebastian Flizak — często słycać było dzwonek loretański, a wiara w jego moc była powszechna. Dzwonić należało zawczasu, bo inaczej chmury zbijały się nad wioską i grad niszczył wszystkie zbiory. Przeciw burzy powinno się dzwonić z pełnym rozmachem, uderzając sercem w obydwie krawędzie płaszcza dzwonu. Wszyscy dzwonnicy byli zgodni co do tego, że na rozpedzenie chmur burzowych jest ciężko dzwonić, a najtrudniej, gdy zbliża

się chmura gradowa. Czynności tej nie wolno było przerwać nawet na chwilę. Gdy chmury zbijały się nad głową dzwonnika ogarniała go słabość i senność, ale nie śmiał przerwać — ktoś drugi musiał go wtedy wyręczyć i zastąpić w tej ciężkiej pracy (Kasinka). Za późno rozpoczęte dzwonenie nie odnosiło zwykle oczekiwanego skutku, grad spadał niszcząc wszystkie uprawy.

Wierzono, że dzwonki loretańskie stanowiły znaczną przeszkodę w pracy płanetników (zajmujących się przeciąganiem deszczowych i gradowych chmur), więc odnosili się oni do nich z nienawiścią i przezywali je pieskami szczekającymi (Flizak, 1952, s. 39). Dzwony i wydobywany z nich głos były sposobem oddziaływania na rzeczywistość, ponieważ były głosem Boga. „Przypisywane dzwonom znaczenie apotropeiczne doskonale ilustrują zalecane w czasie święcenia dzwonu modlitwy (*Pontificale Romanum II*), w których mówi się o tym, iż dźwięk dzwonu pobudzić ma pobożność wiernych, ale też dodając, że: „Gdziekolwiek rozlegać się będzie dźwięk tego dzwonu, niech do tego miejsca z dala się trzyma moc nieprzyjaciół, cienie duchów, gwałtowne wichury, uderzenia piorunów i grzmoty, klęska niepogody i wszelkie ataki burz” (Forstner, 1999, s. 398). Jak notuje Flizak, tam, gdzie słyhać było święty głos dzwonu nigdy nie rosła roślina *satłok* mająca magiczne właściwości.

Za swoją pracę dzwonnika w niedzielę po mszy Franciszek Niedośpiał zbierał pod kościołem od ludzi datki pieniężne. Rozmówcy wspominają, że z dzieciństwa zapamiętali grupę przekomarzających się i śmiejących mężczyzn otaczającą niewielkiego wzrostu postać dzwonnika, który zawsze „opowiadał hecne rzeczy”, powodując ogólną wesołość. „Chłopy go lubili, porozmawiał, pośmiał się, a coś widział, to i opowiadał”. Zimą odwiedzał także sąsiednie i dalej położone gospodarstwa — i jak utrzymują informatorzy — zapisywał w czarnym zeszycie zarówno tych, którzy mu nie chcieli płacić — zapisując ich „do kociej wiary”, jak i dających niewielkie datki — co potwierdza córka.

Jak wspominają, „jak szła burza, to wszyscy lecieli do siana, a Niedośpioł do domu i dzwonił. Ludzie zdążyli zebrać lub przynajmniej skopić siano, a jemu często deszcz zmoczył”. Bycie dzwonnikiem było służbą odpowiedzialną, spełnianą z dużym poczuciem obowiązku. Traktował on ten środek ochrony poważnie, wierząc głęboko w sens swego posłannictwa. Wytrwale pełnił swoje zadanie, dowodząc wszystkim, że dzięki jego dzwonieniu wieś ominęło wiele burz i klęsk. Otrzymywane datki były niestety nader skromne i w niewielkim stopniu wspomagały budżet rodzinny.

Pasją, a chyba mało lub w ogóle nie znaną na wsi w tym czasie umiejętnością „górola” było sadownictwo. W swoim niewielkim przydomowym sadzie, położonym na wysokości ok. 700 m n.p.m., hodował śliwy węgiećki i damaszki, drobne żółte śliwki (inna odmiana niż mirabelki), co najmniej trzy odmiany jabłonek oraz grusze. Na jednej z nich, pośledniego gatunku, zaaszczepił gałąź odmiany szlachetnej. Z czasów młodości wspominają miesz-

kańcy wsi, że często nabywano od niego sadzonki śliw, umiał bowiem szczepić drzewka. W niejednym sadzie rosła jeszcze, dziczejące dziś, nabyte u niego drzewka owocowe. Bardzo dbał o swój sad, drzewka nawoził, okopywał, w wigilię św. Marcina białł, przycinał i usuwał obeschłe gałęzie. Dzieci z okolicznych gospodarstw chętnie zakradały się do sadu w czasie dojrzewania owoców „na śliwki”. Za sprzedane szczepione drzewka śliw „zawsze pare groszy mu wpadło, bo dużo ludzie u niego kupowali”. Jeszcze do dziś w jego dawnym, przydomowym sadzie rosła zasadzone przez niego drzewa owocowe oraz dwie piękne lipy. Dodatkowe źródło utrzymania stanowiła również podejmowana w sezonie praca najemna. W czasie dojrzewania zbóż — „zbożowych”, gdy nadchodził czas żniw, udawał się gospodarz w kierunku Nowego Targu z kosą na ramieniu i tam zarabiał, najmując się jako kosiarz.

Jego żona — Józefa również ciężko pracowała, zajmując się handlem nabiałem, przywoziła też z okolic Gorlic materiały, sweterki, chustki i sprzedawała we wsi, często realizując zamówienia sąsiadów. W czasach, gdy nie było izb porodowych ani drogi dojazdowej zajmowała się również akuszerstwem — „ona przy babach była, przy porodach”. „Często po nią chodzili, nigdy nie odmówiła pomocy”, a według informatorów znała się na tym zawodzie, z powodzeniem odbierała nieraz skomplikowane porody. Za oddane usługi wynagradzano ją zawsze jakimś datkiem. Rzadko była to gotówka, najczęściej otrzymywała jakieś produkty — jaja, trochę zboża itp. Jako smarowaczka — bo i to należało do jej umiejętności — potrafiła pomóc w wielu przypadkach. „Smarowała, ale to nie był jakiś specjalny masaż, tylko tak po piersiach, po plecach posmarowała, to pomagało na oberwanie, krzypoty itp.”. Do takiego masażu najlepiej było użyć specjalnych maści, jak powszechnie wiadomo, pochodzących z tłuszczu zwierzęcego. Do dziś zachowała się koło domu kamienna podmurówka, na której stała mała szopka drewniana, gdzie gospodarz oprowiał zwierzęta — podobno często psy — a wytopiony tłuszcz sprzedawał. „Ludzie mu psy dawali, to żeby coś z nimi zrobić, to on sadło wytapiał, a psine jedli, zresztą nie tylko oni, to ja, mówili, tak wiatrem było czuć”. Pozyskany tą drogą smalec był szeroko znanym i cenionym środkiem leczniczym, np. na podżwignięcie — „oberwanie”, do smarowania piersi „przy krzypotach” itp. Skórami owijano chorych, co miało być pomocne np. na bóle artretyczne.

Częste wyjazdy żony — według miejscowych relacji — oraz prześmiewki sąsiadów, wzbudziły zazdrość u Franciszka do tego stopnia, że — jak twierdzą rozmówcy — „na złość żonie pewnego dnia sam się wymiśkował” (wykastrował) i tylko dzięki sąsiadom nie zmarł na skutek wykrwawienia. Z relacji samego zainteresowanego wynikało, że był to wypadek, gdy schodząc z drabiny zawiesił się na wystającym haku i okaleczył. Do dziś z pewnym prześmiechem wspominane jest to zdarzenie, które — jako coś nietuzinkowego — zachowało się w pamięci, utrwalając ironicznie-lekceważący stosu-

nek do dzwonnika–„górola”. „Nawet o tym w gazecie pisali” — chwalał się. To wydarzenie w sposób zasadniczy zaważyło na jego wizerunku i pamięci o nim zachowanej wśród współmieszkańców.

Po śmierci Franciszka Niedośpiała w 1970 roku jego żona opuściła dom i przeniosła się do córki Rozalii zamieszkującej pod Nowym Sączem. Tam zmarła w 1981 roku i została pochowana.

Dzwonek loretański — jako rzecz najcenniejszą i poświęconą wziął brat Józefy — Franciszek Kołodziejczyk. Po jego śmierci żona przekazała go proboszczowi parafii w Lubomierzu — księdzu Stanisławowi Pasiutowi w zamian za odprawienie w intencji zmarłych mszy gregoriańskich. „Takie miała życzenie Niedośpiołka, żeby dać na gregorianki”.

Od 1973 roku dom pełni rolę domku letniskowego i — jak twierdzi pewna pani prokurator przebywająca tam przez parę dni — pozostaje nadal pod stałą opieką ducha nietuzinkowego dzwonnika. Opowiada ona, że przechodząc pewnego dnia wieczorem koło szopki, zobaczyła siedzącą na pniu do rąbania drewna postać niewysokiego starszego mężczyzny, który z pewnej odległości obserwował wnętrze domu. Natknęła się na niego powtórnie, gdy z zainteresowaniem zaglądał z sieni do kuchni. Przechodząc obok tej postaci, miała wewnętrzną pewność, iż jest to duch dawnego właściciela, który z życzliwością spoglądał na swój stary dom.

Na zakończenie dodam, że przeprowadzony w 2004 roku remont dachu tego domu pozwolił na zachowanie wieżyczki (fot. 7), w której obecni właściciele umieścili mały dzwonek.

LITERATURA

- Brückner A.
2000 *Słownik etymologiczny języka polskiego*, wyd. IX, Warszawa.
- Flizak S.
1952 *Materiały etnograficzne i historyczne z terenu Zagórzan*, Archiwum Etnograficzne Nr 4, PTL, Poznań – Łódź. Rękopis materiałów terenowych zebranych w okresie międzywojennym w regionie Zagórzan, udostępniony przez Archiwum Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, Oddział Mszana Dolna.
- Forstner D. OS.
1990 *Świat symboliki chrześcijańskiej*, PAX, Warszawa.
- Gajek J.
1963 *Dzwonniczka do odgania burz gradowych*, Lud t. 48, s. 445–449.
- Gloger Z.
1972 *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, hasło „dzwony”, s. 112–114, t. II. Warszawa.

- Kaleciak P.
1967 *Irracjonalne i racjonalne aspekty meteorologii ludowej w powiecie limanowskim*, red. P. Kaleciak, w: *Materiały etnograficzne z powiatu limanowskiego*, z. 1, Archiwum Etnograficzne Nr 30, PTL Wrocław, s. 54–76.
- Karłowicz J.
1907 *Słownik gwar polskich*, t. 5, Kraków.
- Kowalski P.
1998 *Leksykon znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie*, hasło „dzwon”, s. 121–123, PWN Warszawa–Wrocław.
- Kowalewski M.
1960 *Mały słownik teologiczny*, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań–Warszawa–Lublin.
- Rychlikowa I.
1960 *Klucz wielkopoleński Wodzickich w drugiej połowie XVIII wieku*, Wrocław–Warszawa, Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo PAN.
- Witkowski Cz.
1967 *Sposoby zwalczania burz i gradów przez chłopów w woj. krakowskim. Wierzenia i praktyki z końca XIX i I połowy XX w.*, „Rocznik Muzeum Etnograficznego w Krakowie”, t. II, s. 133–152.
- Zych M.
2004 „Żywych zwołuję, zmarłych oplakuję, pioruny kruszę”. Obecność dzwonów w przestrzeni symbolicznej — analiza antropologiczna, praca mgr, msp. ss. 141, Instytut Etnologii i Antropologii Kultury UJ.

Dodatkowych informacji udzielili: ks. proboszcz o. Z. Mikołajczyk, Rozalia Maśnica — córka Franciszka Niedośpiała, wdowa po Franciszku Kołodziejczyku — Józefa oraz sąsiedzi z przysiółka Surmy.

Krystyna Hermanowicz-Nowak

A HOUSE WITH A CAMPANILE

(Summary)

The article describes a residential house with a campanile, a very rare design in rural housing, and the history of an extraordinary bell-ringer living in Lubomierz, a village bordering on the Gorce and Beskid Wyspowy. This village is inhabited by highlanders who belong to the Zagórzanie group.

In 1954 Franciszek Niedośpiał (called a highlander after the elements of the traditional highlanders' costume regularly worn by him) built a small wooden house at a certain distance from the last buildings of the Surma estate. The house features a kitchen, an entrance hall open on both sides and a stable. On the shingled roof a small campanile was erected, with a small wrought iron cross, mounted in an upside-down metal kettle. The campanile became home to a consecrated Loretto bell (cast in 1966), with which the bell-ringer warded off the clouds and storms, thus protecting the neighbouring fields and crops against disaster. His power extended as far as the sound of the bell was heard. This story of the highlander, a landlord, bell-ringer, horticulturalist, who died in 1970, is still alive in the minds of the older inhabitants of the village. His house with the campanile has been preserved until today.



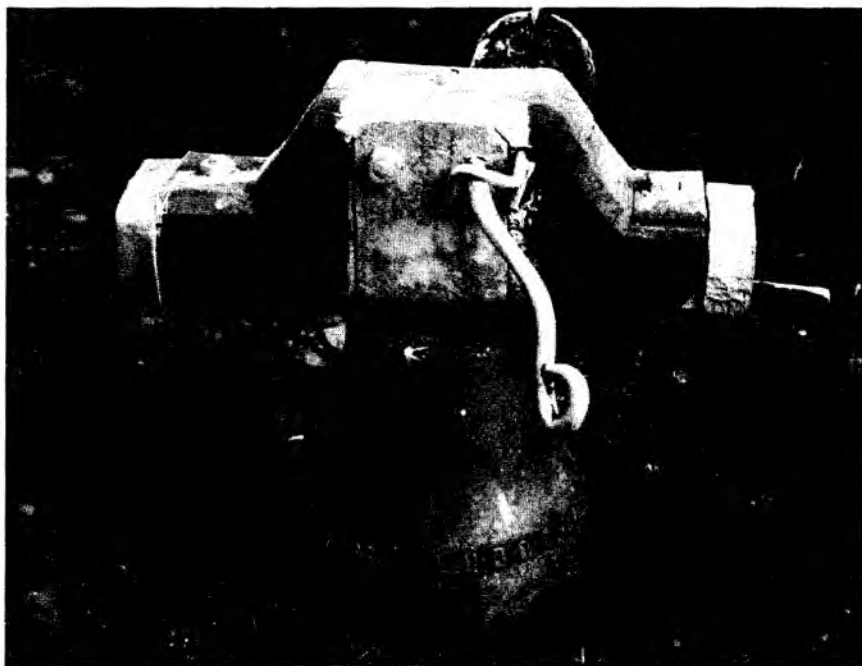
Fot. 1 Położenie domu
F. Niedośpiął (mapa).



Fot. 2 Franciszek Niedośpiął.
Fot. ze zbiorów rodziny.



Fot. 3 Dom F. Niedośpiął. Fot. K. Hermanowicz-Nowak.



Fot. 4 Dzwonek loretański z widocznym napisem „1966 Lubomierz”. Fot. J. Nowak.

Fot. 5
Franciszek Niedośpiał
w tradycyjnym stroju
góralskim.
Fot. ze zbiorów rodziny.



Fot. 6
Wieżyczka z krzyżykiem oprawionym
w czajniczek.
Fot. K. Hermanowicz-Nowak.



Fot. 7 Remont dachu — ponowne
osadzanie krzyżyka. Fot. J. Nowak.

